



EDGAR ALLAN POE

---

# Czarny kot

1/01/11.W.10

  
wolnelektury.pl

Biblioteka Antoni Wróblewski



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

EDGAR ALLAN POE

# *Czarny kot*

TLUM. BOLESŁAW LEŚMIAN

Nie spodziewam się i nie wymagam wiary dla wielce dziwnej i wielce skądinąd poufnej opowieści, którą chcę pismem utrwalić. Byłbym, doprawdy, szaleńcem, gdybym się tego spodziewał w chwili, gdy własne moje zmysły odmawiają mi swego świadectwa. Szaleńcem jednak nie jestem i mam zupełną pewność, że nie majacę. Przecież jutro — umieram, dziś tedy pragnąłbym ulżyć swej duszy spowiedzią.

Moim zamiarem bezpośrednim jest — jasne, treściwe i bezstronne podanie do wiadomości powszechnej szeregu nagich zdarzeń z zakresu życia domowego. Zdarzenia owe w swych

skutkach — przeraziły mię — wzięły na męki — znicestwiły. Mimo to nie będę próbował wyświeślenia ich istoty. Dla mnie osobiście ukazały się od strony przerażenia — wiele osób ujrzy w nich mniej zgrozy, więcej *baroku*. Kiedyś, być może, znajdzie się umysł, który zmoreją moją sprowadzi do poziomu zjawisk oklepanych — umysł pogodniejszy, logiczniejszy i o wiele mniej od mego płomienny, który w wypadkach ze zgrozą przeze mnie głoszonych wykryje jeno zwykłą następcość przyczyn i skutków, niezmiernie zgodnych z ładem codziennym.

Od dziecka zdradzałem miękkość i ludzkość uczuć. Tkliwość mego serca była tak znamienna, że dzięki niej stałem się kozłem ofiarnym mych kolegów. Szczególniej przepadałem za zwierzętami i za zgodą rodziców posiadałem wielce różnorodny zespół ulubieńców. Cały niemal czas spędzałem w ich towarzystwie i nigdy nie czułem się tak szczęśliwy, jak wówczas gdy je darzyłem pokarmem i pieśczołą.

Ta osobliwość mego przyrodzenia wzrastała wraz z wiekiem i gdym zmężniał, stąd głównie czerpałem moje uciechy. Tym, którzy darzą uczuciem wiernego i zmyślnego psa, nie mam potrzeby tłumaczenia istoty i stopnia zadowoleń płynących z owego źródła.

W bezinteresownej miłości zwierzęcia, w jego nie szczędzącym własnego życia poświęceniu tkwi coś, co bezpośrednio porusza serce ludzi, którzy częstokroć mieli sposobność stwierdzenia wątlej przyjaźni i słomianej wierności *człowieka w oryginale*. Ożeniłem się wcześniej i z radością wykryłem w żonie mej zgodność upodobań. Zauważywszy mój pociąg do tych domowych pieszczochów, nie przeoczyła nigdy sposobności dostarczenia mi okazów najbardziej uroczych. Mieliśmy — ptaki, rybę złotą, pięknego psa, króliki, małą małpkę i kota.

Ten ostatni był okazem zastanawiająco krzepkim i wspaniałym, całkowicie czarnego futra i przedziwnej zmyślności. Mówiąc o jego inteligencji, żona moja, nie pozbawiona w głębi duszy zabobonów, częstokroć napomykała

o rozpowszechnionym w starożytności wierzeniu, które we wszystkich czarnych kotach widziało przerzucone czarownice. Nie znaczy to wszakże, aby zawsze w takich razach zachowywała *powagę* — i jeśli czynię ową wzmiankę, czynię ją po prostu dlatego, że w tej właśnie chwili przyszła mi do głowy.

Pluton — tak się nazywał kot — był moim ulubieńcem, moim towarzyszem. Sam osobiście podawałem mu pokarm — włóczył się za mną wszędzie, gdziekolwiek poszedłem. Nie bez trudności wymogłem na nim posłuszeństwo zakazowi włóczenia się za mną po ulicach. Przyjaźń nasza trwała w tym stanie lat kilka, w którym to czasie całokształt mego charakteru i usposobienia pod wpływem Demona Niewstrzeźliwości — rumienię się na owo wyznanie — uległ zasadniczym zmianom na gorsze. Z dnia na dzień stawałem się coraz pochmurniejszy, coraz skorszy do gniewów, coraz obojętniejszy na uczucia innych ludzi. Pozwalałem sobie na używanie słów grubiańskich w stosunku do mojej żony. W końcu — gwał-

ciłem nawet nietykalność jej osoby. Zmiana mego usposobienia, ma się rozumieć, dała się we znaki moim nieszczęsnym ulubieńcom. Nie tylko ich zaniedbywałem, lecz i dręczyłem. Wszakże — co do Plutona — miałem dla niego sporo jeszcze względów, które mi wzbraniały złego z nim obejścia, podczas gdy nie doznawałem żadnych skrupułów w dręczeniu królików, małpy, a nawet psa, jeśli przypadkowo lub przyjaźnie stawały mi na drodze. Atoli zło moje coraz bardziej zuchwalało się we mnie — któreż bowiem zło dorówna Alkoholowi! — i wreszcie sam Pluton, który obecnie starzał się i, co idzie za tym, nieco zeszkaradniał — sam Pluton zaczął wyczuwać skutki znikczemnienia mego charakteru.

Pewnej nocy, gdy powróciłem do domu z jednej nałogowo przeze mnie odwiedzanej nory zamiejskiej, uroiłem sobie, iż kot unika mojej obecności. Schwyciłem go za kark — on zaś, spłoszony moją przemocą, z lekka poranił mi zębami rękę. Owładnęła mną nagle wściekłość demona. Straciłem przytomność. Zdawało się,

iż duch mój przyrodzony znieńcka wymknął mi się z ciała i przepojona ginem<sup>1</sup>, nadszatańska złość przenikła każde włókno mej istoty. Z kieszeni kamizelki wyszarpnąłem scyzoryk i otworzyłem. Porwałem biedne zwierzę za gardło i śmiało wyważyłem mu z orbity jedno ślepie! Rumienię się, płonę od wstydu, drzę opisując to piekła godne okrucieństwo!

Gdy ze świtem rozum odzyskałem — gdy wytchnąłem czad mej hulaszczey nocy — doznałem z powodu popełnionej zbrodni uczucia, które było na wpół zgrozą, a na wpół wyrzutem sumienia, lecz było to co najwyżej — słabe i niewyraźne uczucie i duch mój nie ukorzył się przed owym ciosem. Oddałem się ponownie swym chuciom<sup>2</sup> i wkrótce zatopiłem w winie wspomnienie mego czynu.

Tymczasem kot powoli wracał do zdrowia. Orbita pozbawiona ślepie miała wprawdzie po-

---

<sup>1</sup>*gin* (ang.) — wódka angielska o smaku i zapachu jałowca. [przypis redakcyjny]

<sup>2</sup>*chuć* — pożądanie seksualne, tutaj: nałóg. [przypis redakcyjny]

zór<sup>3</sup> straszliwy, lecz kot zdawał się już nie cierpieć. Swoim zwyczajem chodził tam i z powrotem po pokoju, wszakże, jak winienem był tego oczekiwać, za moim zbliżeniem się uchodził z najwyższą trwogą. Dość mi jeszcze pozostało z mych dawnych uczuć, aby początkowo doznać goryczy na widok tak jawnej odrazy ze strony stworzenia, które mię niegdyś tak miłowało. Owo jednak uczucie ustąpiło wkrótce gniewowi i wówczas, jakby dla ostatecznego i nieodwołalnego pchnięcia mię do upadku, zjawił się duch *Przekory*. Filozofia nie zda je sobie żadnej z tego ducha sprawy. A jednak wierzę w to święcie, jak w istnienie własnej duszy, że przekora jest jednym z pierwotnych popędów ludzkiego serca — jedną z niepodzielnych, pierwiastkowych władz lub uczuć, które nadają kierunek charakterowi danego człowieka.

Któż, popełniając czyn niedorzeczny lub nikczemny, nie dziwił się po stokroć tej prostej

---

<sup>3</sup>pozór — daw. wygląd, współ. ludzące wrażenie, zob. na pozór, pod pozorem, z pozoru. [przypis redakcyjny]



oczywistości, iż wiedział, że winien go był n i e po-  
pełniać? Czyż pomimo doskonałości naszego  
rozsądku nie mamy nieustannych zakusów do  
naruszania tego, co jest *Prawem*, dla tej po pro-  
stu przyczyny, iż wiemy właśnie, że jest to —  
*Prawo*? Powtarzam — ów duch przekory przy-  
czynił się do ostatecznego mego upadku.

Ten to żarliwy, niezgłębiony popęd duszy  
ku *dręczeniu siebie samej* — ku gwałceniu wła-  
snej natury, ku złoczyńieniu dla samej miło-  
ści złego — skłonił mię do snucia w dalszym  
ciągu i ostatecznie do całkowitego wypełnienia  
męczarni, którą zgotowałem dla bezbronno-  
go zwierzęcia.

Pewnego poranka — z zimną krwią — za-  
dzierzgnałem wokół szyi kota pętlicę i powie-  
siłem go na gałęzi drzewa. Powiesiłem ze łzami  
w oczach — z najsroźszymi wyrzutami sumie-  
nia. Powiesiłem *ponieważ* wiedziałem, że mnie  
kochał i *ponieważ* czułem, że nie dał mi żadne-  
go do gniewu powodu. Powiesiłem, *ponieważ*  
wiedziałem, że, czyniąc tak, popełniam grzech  
— grzech śmiertelny, który hańbi nieśmier-

telną duszę moją aż do stopnia wyświecenia jej — jeśli to jest możliwe — poza obręby nieskończonego miłosierdzia Wszechmiłosiernego i Wszechstraszliwego Boga. W nocy, która nastąpiła po dokonaniu owego okrutnego czynu, zbudził mnie ze snu okrzyk: Pożar! Kotary mego łóżka były w ogniu. Dom cały płonął. Kosztem niemałych wysiłków uszliśmy płomieniom — moja żona, służący i ja. Ruina była doszczętna. Pożar pochłonął wszystką moją fortunę i odtąd oddałem się rozpacz.

Nie pragnę nawiązać łańcucha przyczyn i skutków pomiędzy moim okrucieństwem a klęską — jestem wyższy ponad tego rodzaju słabostki.

Lecz zdaję sobie sprawę z łańcucha zdarzeń i nie chcę przeoczyć ani jednego ogniwa. Odwiedziłem zgliszcza w dniu, który nastąpił po pożarze. Mury z wyjątkiem jednego runęły, zaś ów jedyny wyjątek był właśnie przepierzeniem wewnętrznym, niezbyt grubym, położonym mniej więcej w miejscu, na którym wspierało się wezglowie mego łóżka. Większość mu-

ru w tym miejscu oparła się działaniu ognia — wypadek, który przypisywałem świeżo wykonanej odnowie. Wokół tego muru zgromadził się tłum gęsty, a ci i owi szczegółowo i z ożywieniem zdawali się badać upatrzony jego zakątek.

Wyrazy: Dziwne! Szczególne! — i tym podobne okrzyki wzmogły moją ciekawość. Zbliżyłem się i ujrzałem, niby płaskorzeźbę uwy pukloną na białej powierzchni, postać gigantycznego *kota*.

Kształt jego był odtworzony z czarodziejską zaiste ścisłością. Na szyi zwierzęcia zwisał — powróż.

W pierwszej chwili, gdym zjaw<sup>4</sup> ów oglądał — mogłem to bowiem tylko za zjaw uważać — zdumienie moje i przestach nie miały granic. Lecz rozum przyszedł mi wreszcie z pomocą. Kot — pamiętałem to dobrze — został powieszony w przyległym budynkowi ogrodzie. Na okrzyk trwogi tłum niezwłocznie wtargnął do ogrodu i zapewne znalazł się ktoś, kto kota

---

<sup>4</sup>*zjaw* (rodz. m.) — popr. *zjawa* (rodz. ż.). [przypis redakcyjny]

od drzewa odczepił i przez otwarte okno wrzucił do mego pokoju. Uczyniono to niewątpliwie w celu zbudzenia mnie ze snu. Brzemię innych murów zasklepiło ofiarę mego okrucieństwa w miazdze świeżych pokładów gipsu. Wapno tego muru, przesycone płomieniem padliny, utworzyło podobiznę taką, jaką właśnie oglądałem.

W ten sposób — wobec dziwnego a opisanego powyżej trafu — jeśli nie ukoilem całkowicie sumienia, zaspokoilem zdawkowo mój rozum, mimo to wszakże traf ów głęboką bruzdą wyrył się w mej wyobraźni. Przez kilka miesięcy nie mogłem się pozbyć zmory kociej, i w tym okresie czasu ponownie zakradło się do mej duszy póluczucie, które miało pozory wyrzutu sumienia, lecz nim nie było. Posunąłem się aż do oplakiwania straty zwierzęcia i do poszukiwania wszędy — w najnikczemniejszych zakamarkach, które obecnie odwiedzam nałogowo, innego ulubieńca tegoż gatunku i pozorów mniej więcej podobnych, aby mieć zastępcę.

Pewnej nocy, gdy na wpół obłądnie siedziałem w jednej bardziej niż zatraconej norze, uwagę moją przykuł nagle przedmiot czarny tkwiący na wierzchu jednej z olbrzymich beczek ginu czy też rumu, które stanowiły główną ozdobę sali. Od kilku minut przyglądałem się uporczywie górnemu dnu tej beczki, a obecnie zdziwiła mię przede wszystkim ta okoliczność, że dotąd nie spostrzegłem tkwiącego na nim przedmiotu. Zbliżyłem się i zmacałem go dłonią. Był to kot czarny, bardzo duży kot — pojemności co najmniej Plutona, podobny doń bezwzględnie, z wyjątkiem jednej różnicy. Pluton na całym ciele nie miał ani jednego białego włosa; ten zaś był posiadaczem szerokiej i białej, aczkolwiek nieokreślonego kształtu pręgi, która przysłaniała cały niemal zakres piersi.

Zaledwo go dotknąłem — powstał nagle, zamruczał głośno, otarł się o moją dłoń i zdawał się wyrażać swój zachwyt z powodu okazanych mu przeze mnie względów. Był to właśnie ów wierny okaz, którego poszukiwałem. Natychmiast zaofiarowałem się właścicielowi z kup-

nem tego kota, lecz ten nie uznał w nim swojej własności, nie znał go — nigdy go dotąd nie widział. W dalszym ciągu darzyłem go pieśczo-  
tami i gdy zamierzałem wrócić do domu, zwierzę wykazało chęć towarzyszenia mej osobie. Pozwoliłem mu iść za sobą i, schylając się od czasu do czasu, głaskałem je mimochodem. Wszedłszy do domu, zachował się jak na swych własnych śmieciach i natychmiast zapłonął wielką przyjaźnią do mej małżonki.

Co do mnie — poczułem wkrótce rodzącą się w mej duszy odrazę do niego. Był to skutek wprost przeciwny spodziewanemu przeze mnie. Nie wiem jak i dlaczego się to stało, lecz jego widoczna dla mnie czułość napawała mię niemal wstrętem i nużyła. Z wolna i stopniowo uczucia wstrętu i nudy wezbrały aż po gorzki kres nienawiści. Unikałem zwierzaka. Niejasne poczucie wstydu i wspomnienie pierwszego czynu okrucieństwa wzbraniały mi dręczenia tego zwierzęcia. Przez kilka tygodni powściągałem się od bicia kota lub od popędliwych względem niego postępków, atoli stop-

niowo — nieznacznie — zacząłem nań poglą-  
dać z niewysłowionym przestraczem i milcząc  
uchodzić przed jego nienawistną obecnością jak  
przed podmuchem dzumy. Do mej nienawi-  
ści dla zwierzęcia przyczyniło się niewątpliwie  
odkrycie, którego dokonałem rankiem, naza-  
jutrz po sprowadzeniu go do domu, a miano-  
wicie — tak samo, jak Plutonowi, brakowa-  
ło mu jednego ślepie. Z tego wszakże powo-  
du zwierzę nabrało jeno tym większej wartości  
w oczach mojej żony, która, jak już wspomi-  
nałem, w wysokim stopniu posiadała tkliwość  
serca, stanowiącą niegdyś moją cechę charak-  
terystyczną oraz częstokroć źródło najprostszyc  
i najczystszych radości.

Wszakże przywiązanie do mnie kota wzra-  
stało na przekór mej do niego odrazy. Chodził  
krok w krok za mną z uporem, który trudno  
by było przekazać zrozumieniu czytelnika.

Ilekroć siadłem, zwijał się w kłębek pod  
moim krzesłem lub wskakiwał mi na kolana,  
obdarzając mię straszliwymi pieszczotami. Je-  
śli powstawałem z siedzenia, wściubiał mi się

między nogi i przyprawiał mię niemal o upadek lub, zanurzając w mym ubraniu długie i ostre pazury, wpełzał mi tym sposobem aż na pierś. W takich chwilach, pomimo żądy zabicia go na miejscu, hamowałem się po części na skutek wspomnienia mojej pierwszej zbrodni, lecz głównie — muszę to wyznać co prędzej — z powodu rzetelnego przed zwierzęciem *strachu*.

Strach ów nie był właściwie obawą bólu fizycznego, a jednak znalazłem wielkie przeszkody do określenia go w sposób inny. Ze wstydem niemal wyznaję — tak, nawet w tej celi zbrodniarza wyznaję niemal ze wstydem, że strach i przerażenie, którymi napełniało mnie zwierzę, wzrosły dzięki jednej z najwierutniejszych mrzonek, na jakie tylko zdobyć się można. Żona moja nieraz zwracała mi uwagę na zarys białej pręgi, o której mówiłem, a która stanowiła jedyną widomą różnicę pomiędzy tym dziwnym a owym zamordowanym przeze mnie okazem. Czytelnik bez wątpienia przypomina sobie, iż owa oznaka, mimo sporych roz-



miarów, miała pierwotnie kształt nieokreślony, lecz z wolna — w miarę stopniowań — niepochwytanych stopniowań, w których mój rozum przez czas długi chciał się koniecznie dopatrzeć urojeń — nabrała wreszcie nieodpartej jasności zarysów. Stała się teraz odwzorem przedmiotu, którego nie mogę bez zgrozy nazwać po imieniu, a tu właśnie i tu przede wszystkim taίło się to, co mnie zmuszało do powzięcia strachu i wstrętu względem potwora i co skusiłoby mnie do pozbycia się go na zawsze, *gdybym miał śmiałość po temu*. Obecnie — powtarzam — była to podobizna ohydneho, złowieszczego narzędzia — podobizna *szubienicy*. O, grobowe i straszliwe narzędzie! Narzędzie zgrozy i zbrodni — agonii i śmierci!

Byłem oto zaiste nieszczęśliwy ponad miarę nieszczęścia dostępnego *Człowiekowi*. Bydlę przyziemne, którego brata znicestwiłem wzgardliwie — *bydlę przyziemne* zgotowało dla mnie — dla mnie, istoty stworzonej na wzór i podobieństwo Boga Najwyższego, klęskę tak wielką i tak ponad siły! Niestety, ni dniem, ni nocą nie

zaznałem odtąd słodczy spoczynku! Dniem zwi-  
rzę nie opuszczało mię ani na mgnienie, a nocą  
— co chwila — po to się jeno budziłem z nie-  
wypowiedzianie trwożnych snów, aby wyczu-  
wać na twarzy ciepły oddech owej *namacalności*  
i jej wiekuiście utrwalane na mym *sercu* niepo-  
mierne brzemie — wcielenie Zmory, z której  
nie mogłem się otrząsnąć!

Pod uciskiem takich męczarni źdźbło po-  
zostałych we mnie dobrych uczuć — szeszło.  
Złe tylko myśli poufały się z mym duchem —  
najmroczniejsze i najnikczemniejsze ze wszyst-  
kich myśli. Właściwa memu usposobieniu po-  
sępność urosła aż do rozmiarów nienawiści dla  
wszelkiej rzeczy i wszelkiej istoty ludzkiej. Tym-  
czasem żona moja, która się nigdy nie skar-  
żyła, stała się — niestety — moim codzien-  
nym kozłem ofiarnym, najcierpliwszym łupem  
nagłych, częstych i nieposkromionych wybu-  
chów nienawiści, której się odtąd oddawałem  
na oślep. Pewnego dnia — gwoli jakiejś do-  
mowej potrzeby — towarzyszyła mi w zejściu  
do piwnic starego domostwa, gdzie zamiesz-

kaliśmy pod musem nędzy. Kot szedł za mną po stromych stopniach schodów i, na wstępie, omal nie wywróciwszy mnie na głowę — rozjątrzył mój gniew aż do obłędu. Uniósłszy topora i zapomniawszy w mej wściekłości dzieciniego strachu, który dotąd dłoń moją hamował, wymierzyłem w zwierzę cios, który byłby śmiertelny, gdyby padł jakom chciał. Wszakże cios ów powściągnęła dłoń mej żony. To pośrednictwo podjudziło mię aż do szatańskich rozścierwień. Wyszarpnąłem dłoń z jej uścisku i zanurzyłem topór w jej czaszce. Padła trupem na miejscu, nie wydawszy jęku.

Spełniwszy tę zbrodnię straszliwą, natychmiast i z wielką przytomnością umysłu zakrzętałem się dokoła ukrycia zwłok. Zmiarkowałem, że ani w dzień ani w nocy nie zdołam wynieść ich z domu, nie narażając się na niebezpieczeństwo zwrócenia bacności sąsiadów. Kilka pomysłów przemknęło mi przez głowę. Była chwila, że zamierzyłem pokrajać ciało na drobne kawałki i zniszczyć je ogniem. Potem postanowiłem wyźłobić jamę w gruncie piw-

nicznym. Potem chciałem wrzucić ciało do studni podwórzowej — potem zapakować je do skrzyni, niby towar na sprzedaż, z przestrzeżeniem wszelkich stosownych pozorów i polecić posłańcowi, aby je wyniósł gdzieś — na miasto. Ostatecznie zatrzymałem się na pomysł, który, moim zdaniem, był najlepszy ze wszystkich. Zdecydowałem się zamurować je w piwnicy na wzór mnichów średniowiecznych, którzy podobno zamuroвывali swe ofiary.

Piwnica bardzo odpowiadała wykonaniu podobnego zamiaru. Mury były zbudowane niedbale i świeżo powleczone grubym pokostem tynku, któremu wilgoć atmosfery nie dała stwardnieć. Ponadto — w jednym z murów tkwił występ, utworzony ślepym kominkiem czy też rodzajem jaskini, pokostowanej i murowanej tak samo, jak reszta piwnicy. Nie wątpiłem, iż uda mi się z łatwością wyważyć w tym miejscu cegły, wtłoczyć tam ciało i zamurować wszystko w taki sposób, ażeby niczyje oko nie zdołało wykryć nic podejrzanego.

I nie pomyliłem się w mych rachubach. Z pomocą obcęgów, bez żadnego trudu, wyszarpnąłem cegły i, starannie przystosowawszy zwłoki do wewnętrznego muru, utrzymałem je w tym położeniu aż do chwili, gdy całemu obmurowaniu przywróciłem pozór pierwotny. Zapatrzywszy się ze wszelkimi możliwymi środkami ostrożności w zaprawę wapienną, piasek i szczerk, urobiłem tynk, którego nie można było odróżnić od dawnego, i bardzo pilnie powlokłem nim nowo powstały mur. Dokonawszy pracy, zauważyłem z zadowoleniem, iż wszystko udało się jak najlepiej. Mur nie zdradzał najmniejszych śladów uszkodzenia. Z największą starannością usunąłem wszelki gruz, odarłem — że tak powiem — ziemię ze skóry. Z triumfem rozglądałem się na okół i mówiłem sam do siebie: „Tu przynajmniej trud mój nie pójdzie na marne!”

Pierwszym moim odruchem było — wypatrzenie zwierzęcia — przyczyny tak wielkich nieszczęść, gdyż w końcu postanowiłem nieodwołalnie pokarać je śmiercią. Gdybym je w tej

chwili przyłapał, los jego byłby rozstrzygnięty. Lecz zmyślne zwierzę zląkło się snadź wybuchów mego przed chwilą gniewu i postarało się o to, aby nie napatoczyć mi się na oczy w obecnym stanie mego usposobienia. Ani opisowi, ani wyobrażeniu nie podda się głębokie i błogie uczucie ulgi, którą nieobecność nienawistnego zwierzaka wytworzyła w mym sercu. Nie zjawił się przez noc całą, a przeto — od czasu sprowadzenia go do domu — była to pierwsza dobra noc, gdy zasnąłem krzepkim i spokojnym snem. Tak, *wyspałem się* wspólnie z ciężką zmorą zbrodni w duszy!

Przeminął drugi i trzeci dzień, a kot mój nie powracał. Raz jeszcze westchnąłem jak wyzwoleniec. Potwór, gnany przestraczem, opuścił te miejsca raz na zawsze! Nigdy go już nie zobaczę!

Wesele moje nie miało granic! Zbrodnicość potajemnego czynu niepokoiła mię aż nadto niewiele. Dokonano dokładnie jakiegoś tam badania, lecz zaspokojono się byle czym. Zarządzono nawet śledztwo, które — ma się

rozumieć — nic wykryć nie mogło. Uważałem moją przyszłą szczęśliwość za pewnik. Na czwarty dzień po zabójstwie gromada agentów policyjnych wkroczyła do domu i ponownie dokonała dokładnego przeglądu miejsca zbrodni. Ufny wszakże w niedostępność skrytki, nie doznałem żadnego niepokoju. Urzędnicy zniewolili mnie do towarzyszenia im w ich poszukiwaniach. Nie pominęli badaniem ani jednego zakrętu, ani jednego kąta. Wreszcie po raz trzeci czy czwarty zeszli do piwnicy. Żaden muskuł nie drgnął mi na twarzy. Serce moje uderzało spokojnie jak serce nowo narodzonego. Szerokim krokiem zmierzyłem piwnicę od końca do końca, skrzyżowałem dłonie na piersi i z ochotą przechadzałem się tu i tam. Policja była najzupełniej zadowolona i sposobila się do wyjścia. Radość mego serca była zbyt wielka, abym podolał jej stłumieniu. Pałałem żądzą uронienia choćby jednego słówka, jednego tylko słówka, aby w ten sposób zatriumfować i podwoić ich przekonanie o mojej niewinności.

— Panowie — rzekłem wreszcie, gdy społem wchodzili na schody — jestem oczarowany tym, że uciszyłem wasze podejrzenia. Życzę wam wszystkim pomyślnego zdrowia i nieco większych zasobów ugrzecznienia. Mimochodem, panowie, dorzucę, iż oto — oto przed wami dom krzepko zbudowany (pod wpływem rozjuszonych żądy wygłoszenia czegokolwiek z miłą zuchwałą zaledwo wiedziałem, co mówię). — Mogę twierdzić, iż jest to dom *przedziwnie* krzepko zbudowany. Te mury — czy odchodziście, panowie? — te mury są szczelnie spójne!

I tu przez rozszalałą do obłędu przekorność — uderzyłem z mocą laską, którą miałem w ręku, akurat po tej części muru, kędy tkwił trup wybranki mego serca.

O! niechże przynajmniej Bóg ma mię w swej opiece i niech mię broni przed pazurami Arcydemonia! Zaledwo echo mych uderzeń rozległo się w ciszy, a jakiś głos odpowiedział mi z wnętrza grobu. Początkowo była to skarga stłumiona i przerywana jak szloch dziecięcy,



który wkrótce potem wezbrał w krzyk przeciągły, donośny i nieprzerwalny, zgoła przeciwny wszelkiemu przyrodzeniu i nieludzki, w wycie i skomlenie, na wpół pełne zgrozy, a na wpół triumfu, jakie może się wyłonić jeno z czeluści Piekieł — potworne pianie, wydzierające się jednocześnie z krtani męczonych skazańców i z gardzieli demonów zdjętych weselem potępienia!

Byłaby szaleństwem próba wysłownienia tego, co się działo we mnie. Uczułem, że tracę zmysły i chwiejnym krokiem dobrnąłem do przeciwległego muru.

Przez mgnienie urzędnicy, stojąc na schodach, trwali nieruchomi, drętwi od przerażenia. W chwilę potem tuzin rąk mocnych wściekłym rzutem dopadł do muru. Mur runął jak jeden strzęp. Ciało, już sporo napoczęte rozkładem i poplamione skrzeplą krwią, stało sztywnie przed oczyma widzów. Na jego głowie z krwawą, na oścież rozwartą paszczą i z jedynym skrzącym się ślepiem — gnieździło się wstrętne zwierzę, którego podstęp zniewolił mnie do zbrod-

ni, a którego głos zdradziecki wydał mię w ręce kata. Zamurowałem potwora w mogilnej wnęce!

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/czarny-kot>

Tekst opracowany na podstawie: Edgar Allan Poe, Maska śmierci szkarłatnej, tłum. Bolesław Leśmian, Oficyna wydawnicza Latona, Warszawa 1992

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Maria Bailey, Marta Niedziałkowska, Weronika Trzeciak.

Okładka na podstawie: Kot syjamski, Wiktoria Goryńska (1902-1945), domena publiczna

ISBN 978-83-288-0691-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

EDGAR ALLAN POE. *Czarny kot*  
Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: *szczegóły na stronie Fundacji*